



KEN FOLLETT

KLUCZ DO REBEKI



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE KEY TO REBECCA

Copyright © Ken Follett 1980
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Michał Madaliński 1999

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ 1

Ostatni wielbłąd padł w południe.

Był to pięcioletni biały samiec, którego kupił w Dżalu, najmłodszy i najsilniejszy z całej trójki zwierząt, a także najmniej złośliwy: lubił to bydłę, o ile w ogóle można lubić wielbłąda, to znaczy nie znosił go tylko umiarkowanie.

Wspięli się na zawietrzne zbocze niewielkiego wzgórza – człowiek i wielbłąd zanurzający w syrkim piasku wielkie, niezgrabne stopy – i zatrzymali na szczycie. Patrzyli przed siebie, widząc tylko kolejny pagórek do pokonania, a za nim tysiące następnych. Być może ten widok sprawił, że wielbłąda opuściły resztki sił. Nogi ugięły się pod nim – najpierw przednie, potem tylne. Spoczął na wierzchołku jak statua, wpatrując się w bezludną pustynię z obojętnością umierania.

Mężczyzna szarpnął zwierzę za sznur przewleczony przez chrapy. Głowa zwierzęcia poddała się, szyja wyciągnęła, ale nie wstało. Mężczyzna obszedł wielbłąda dookoła i kopnął go z całej siły od tyłu, trzy- lub czterokrotnie. Potem wyjął spiczasty, ostry jak brzytwa beduiński kindżał i dźgnął zwierzę w zad. Z rany popłynęła krew, ale wielbłąd nawet nie drgnął.

Mężczyzna wiedział, co się stało: po prostu mięśnie zwierzęcia, pozbawione od dawna pokarmu, zwyczajnie odmówiły posłuszeństwa, niczym silnik, gdy wyczerpie się paliwo. Widział już wiele razy, jak wielbłądy padały w ten sposób na

obrzeżach oazy, otoczone życiodajną zielenią, na którą patrzyły obojętnie, bo nie miały już sił, żeby jeść.

Miał jeszcze w zanadrzu dwie sztuczki. Jedna polegała na tym, by nalać wielbłądowi w nozdrza wody, aż się zachłyśnie; druga – na rozpaleniu ognia pod jego zadem. Niestety nie miał ani zbędnej wody, ani drewna na opał, żeby popróbować którejkolwiek z tych metod, a poza tym i tak żadnej z nich nie dawał większych szans powodzenia.

Tak czy owak, pora się zatrzymać. Słońce stało wysoko i paliło wściekle. Zaczęło się właśnie długie saharyjskie lato; w południe temperatura dojdzie do 43°C w cieniu.

Nie zdejmując juków z wielbłąda, mężczyzna otworzył jedną z sakw i wyciągnął namiot. Rozejrzał się jeszcze raz, lecz w zasięgu wzroku nie znalazł ani kawałka cienia, żadnej osłony; brak było dobrego miejsca na obozowisko. Rozbił namiot przy zdychającym wielbłądzie, na szczycie pagórka.

Usiadł po turecku pod otwartą połą namiotu, żeby sobie zrobić herbaty. Wyrównał w piasku mały kwadrat, ułożył parę cennych patyków w piramidkę i rozpalił ogień. Kiedy woda zawrzała, zaparzył herbatę na sposób beduiński: lał ją z imbryka do kubka, słodził i wlewał z powrotem kilka razy. Tak otrzymany napar, bardzo mocny i słodki jak ulepek, był najbardziej krzepiącym napojem na świecie.

Potem żuł daktyle, patrzył, jak wielbłąd zdycha, i czekał, aż słońce opuści się niżej. Jego spokój wynikał z wielodniowej zaprawy. Przebył długą drogę pustynią, ponad tysiąc siedemset kilometrów. Dwa miesiące temu wyruszył z Al-Agajli na śródziemnomorskim wybrzeżu Libii i przez osiemset kilometrów zmierzał na południe, minął Dżalu i Kufre i dotarł do pustynnego serca Sahary. Tutaj skręcił na wschód i nie zauważony przekroczył granicę Egiptu. Przebył bezludne hamady Pustyni Zachodniej i skierował się na północ opodal Al-Chargi. Teraz był już niedaleko swojego punktu docelowego. Znał pustynię, ale bał się jej – wszyscy mądrzy ludzie się jej boją, nawet Beduini, którzy spędzają na niej całe życie. Jednak nie

dopuścił nigdy, by ten lęk nim zawładnął, by odebrał mu siłę ducha. Katastrofy zdarzają się zawsze: pomyłki w nawigacji, które sprawiają, że mija się studnię o parę kilometrów; przeciekające albo rozdarte bukłaki na wodę; wielbłądy na pozór w pełni sił, padające po kilku dniach marszu. Jedyne, co można zrobić, to powiedzieć sobie: *inszallah* – Bóg tak chciał.

Wreszcie słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Mężczyzna popatrzył na wielbłądzie juki, zastanawiając się, ile z tego będzie w stanie udźwignąć. Były tam trzy małe europejskie walizki, dwie ciężkie i jedna lekka, ale wszystkie ważne. Była też mała torba z odzieżą, sekstans, mapy, jedzenie i pojemnik z wodą. Za dużo tego: będzie musiał zostawić namiot, zestaw do parzenia herbaty, tablice nawigacyjne i siodło.

Związał walizki, odzież, jedzenie i sekstans w jeden toboł, owinął płachtą i zrobił z tego coś w rodzaju plecaka; bukłak z koziej skóry dyndał mu u szyi.

To był ciężki ładunek.

Trzy miesiące temu niósłby go bez trudu przez cały dzień, a wieczorem rozegrałby jeszcze mecz tenisowy – był silnym mężczyzną; pustynia osłabiła go jednak. W brzuchu miał tylko wodę, skórę w strupach i stracił z dziesięć–dwanaście kilo. Bez wielbłąda daleko nie zajdzie.

Z kompasem w ręce ruszył przed siebie.

Trzymał się ściśle azymutu, nie ulegał pokusie omijania wzniesień, bo przez te ostatnie kilometry obliczał swoją pozycję wyłącznie według kompasu i pokonanego dystansu, więc nawet drobny błąd mógł sprawić, że minie się z celem o śmiertelnie paręset metrów. Szedł powolnym, długim krokiem. Opróżnił umysł z nadziei i obaw, skoncentrował się na igle kompasu i na piasku. Zdołał zapomnieć o bolącym, wycieńczonym ciele i stawiał jedną stopę przed drugą machinalnie, nie myśląc o niczym.

Upał dnia przeszedł w chłód wieczoru. Bukłak z wodą coraz mniej obciążał mu kark, bo jego zawartości wciąż ubywało: zużywał trzy litry dziennie i wiedział, że na następny

dzień już mu nie wystarczy. Nad jego głową przeleciało z hałaśliwym piskiem stadko ptaków. Podniósł wzrok, osłaniając oczy dłonią, i rozpoznał stepówki prążkowane, pustynne ptaki przypominające brunatne turkawki, codziennie rano i wieczorem gromadzące się przy wodopojach. Zmierzały w tym samym kierunku co on, a to oznaczało, że jest na dobrej drodze; wiedział jednak, że ptaki potrafią wędrować do wody nawet osiemdziesiąt kilometrów, więc ich widok nie przyniósł mu otuchy.

Ochłodziło się, nad horyzontem zebrały się chmury. Słońce zniżyło się i zmieniło w wielki żółty balon. Po chwili na fioletowym niebie ukazał się biały księżyc.

Trzeba się zatrzymać, pomyślał. Nikt nie da rady iść całą noc. Ale nie miał namiotu, koca, ryżu ani herbaty. I był pewien, że do studni już niedaleko: z jego obliczeń wynikało, że jest tuż-tuż.

Szedł więc dalej, ale spokój zaczął go opuszczać. Postawił przeciwko bezlitosnej pustyni wszystkie siły i całe swoje doświadczenie, jednak wyglądało na to, że to ona weźmie górę. Pomyślał jeszcze raz o wielbłądzie, którego zostawił z tyłu, o tym, jak leżał na wzgórzu, w spokoju czekając na śmierć. Pomyślał, że on sam tak czekać nie będzie. Kiedy śmierć stanie się nieunikniona, wyruszy jej naprzeciw. Nie dla niego godziny cierpień – to poniżej jego godności. Ma przecież nóż.

Ale ta myśl napełniła go rozpaczą. Księżyc zaszedł, jednak nocne niebo wciąż rozświetlały gwiazdy. Zobaczył w oddali matkę, która mówiła: „Przecież cię ostrzegałam!”. Słyszał z daleka pociąg, dudniący jak jego serce. Nagle poczuł zapach pieczonego jagnięcia. Wszedł zza krawędzi wzniesienia i zobaczył czerwoną poświatę ogniska, na którym piekło się mięso, a obok chłopaka ogryzającego kości. Wokół ognia stał krąg namiotów, spętane wielbłądy skubały kolczaste zarośla, w głębi widać było studnię. Wszedł w ten omam. Ludzie ze snu popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Jeden z nich, wysoki mężczyzna, wstał i coś powiedział. Podróżny sięgnął ręką do

zawoju *howli* i odwinął go, by odsłonić twarz.

Wysoki mężczyzna postąpił krok do przodu i zawołał:

– Bracie!

Podróżny zrozumiał wreszcie, że to nie złudzenie, uśmiechnął się słabo i zemdlął.

*

Kiedy się ocknął, znów przez chwilę był chłopcem, a całe dorosłe życie stało się snem.

Ktoś trącał go w ramię i mówił w języku pustyni: „Wstawaj, Achmedzie”. Nikt od lat nie mówił do niego „Achmedzie”. Uświadomił sobie, że jest okryty szorstkim pledem, leży na chłodnym piasku, a głowę ma owiniętą *howli*. Otworzył oczy i zobaczył wspaniały wschód słońca: jakby pozioma tęcza rozciągała się nad płaskim czarnym horyzontem. Lodowaty poranny wiatr powiał mu w twarz i w tym momencie znów przeżył cały niepokój i lęk piętnastolatka, którym był kiedyś.

Czuł się wtedy zupełnie zagubiony – wtedy, gdy po raz pierwszy obudził się na pustyni. Pomyślał: „Mój ojciec nie żyje”, a potem: „Mam nowego ojca”. Przez głowę przemknęły mu urywki wersetów Koranu, przemieszane z fragmentami chrześcijańskiego *Credo*, którego nauczyła go potajemnie matka po niemiecku. Pamiętał ostry ból obrzezania, po którym nastąpiła owacja i strzały na wiwat – mężczyźni gratulowali mu w ten sposób, że stał się jednym z nich. Potem była długa podróż pociągami przez pustynię, zastanawianie się, jacy okazują się jego pustynni bracia i czy będą gardzić jego białą skórą i miejskimi nawykami. Kiedy wyszedł ze stacji kolejowej, zobaczył dwóch Arabów, którzy siedzieli obok swoich wielbłądów na zakurzonej placu przed dworcem, spowici od stóp do głów w tradycyjne burnusy. Ich czarne nieprzeniknione oczy wyzierały przez niewielkie szpary w *howli*. Zabrali go ze sobą do oazy, ale tam nikt się do niego nie odzywał, porozumiewano się z nim tylko na migi. Wieczorem uświadomił sobie, że w oazie nie ma toalet, co wprawilo go w wielkie zakłopotanie.

Kiedy w końcu musiał o to zapytać, zapadła chwila ciszy, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jak się okazało, myśleli, że nie zna ich języka, więc porozumiewali się z nim na migi, a teraz, kiedy zapytał o toaletę, użył dziecinnego określenia, co rozśmieszyło ich dodatkowo. W końcu ktoś mu wyjaśnił, że trzeba oddalić się kawałek od kręgu namiotów i kucnąć w piasku. Później nie bał się już tak bardzo, bo choć byli to twardzi mężczyźni, okazali się życzliwi.

Te wszystkie myśli przebiegały mu przez głowę, gdy oglądał swój pierwszy wschód słońca na pustyni, i powróciły teraz, dwadzieścia lat później, boleśnie świeże, wraz ze słowami „Wstawaj, Achmedzie”.

Usiadł gwałtownie, wspomnienia rozwiały się jak poranne mgły. Przebył pustynię z ważną misją. Odnalazł studnię i nie było to urojenie: zastał tu swoich przyrodnych braci, jak zawsze o tej porze roku. Zasłabł z wyczerpania, ale oni owinęli go kocami i dali mu się wyspać przy ognisku. Poczul ukłucie paniki na myśl o swoim cennym ładunku: czy doniósł go tutaj? – zaraz jednak zobaczył swoje bagaże, starannie ułożone koło nóg.

Obok niego siedział w kucki Izmail. Jak zawsze: kiedy obaj chłopcy spędzili cały rok na pustyni, Izmail wstawał rano pierwszy. Teraz powiedział:

- Coś cię gnębi, bracie.
- Wojna. – Achmed kiwnął głową.

Izmail podał mu małą inkrustowaną miseczkę z wodą. Achmed zanurzył palce i przemył sobie oczy. Izmail odszedł.

Achmed wstał i milcząca kobieta podała mu herbatę. Wziął ją bez słowa podziękii i wypił szybko, a potem zjadł trochę gotowanego ryżu na zimno. Wokół niego trwała nieśpieszna obozowa krzątanina. Odniósł wrażenie, że temu odłamowi jego rodziny wciąż dobrze się powodzi: widać było trochę służby, dużo dzieci i ponad dwadzieścia wielbłądów. Owce, kręcące się w pobliżu, to tylko część stada – reszta pasie się pewnie parę kilometrów dalej. I na pewno jest więcej

wielbłądów, ale rozłążą się w nocy, szukając paszy – i mimo że się je pęta, potrafią się oddalić poza zasięgi wzroku. Rano młodzi chłopcy pójdą ich szukać, tak jak kiedyś Achmed z Izmailem. Zwierzęta nie miały imion, ale Izmail znał historię każdego z nich. Mówił: „Tego samca mój ojciec dał swojemu bratu Abdelowi tamtego roku, kiedy zmarło wiele kobiet, ale okulał, więc ojciec dał Abdelowi drugiego, a tego wziął sobie; wciąż utyka, widzisz?”. Achmed dobrze poznał wielbłądy, ale nigdy nie nabrał do nich takiego stosunku, jaki mają koczownicy – na przykład nie rozpałił wczoraj ognia pod zadem temu zdychającemu białemu. Izmail by to zrobił.

Kiedy skończył śniadanie, zajął się swoim bagażem. Zamki walizek nie były zamknięte. Otworzył małą, skórzaną walizeczkę, która leżała na wierzchu. Gdy przyglądał się pokrętlom i wskaźnikom niewielkiej radiostacji wmontowanej w jej wnętrzu, nawiedziło go nagle żywe wspomnienie: rojny i gwarny Berlin, cienista aleja Tirpitzufer, czteropiętrowy budynek z piaskowca, labirynt korytarzy i schodów, sekretariat z dwiema recepcjonistkami, skąpo umeblowany gabinet: biurko, kanapa, szafa na akta, wąskie łóżko, na ścianie japońskie malowidło przedstawiające uśmiechniętego demona oraz fotografia Franco z autografem, a z tyłu, za gabinetem, na balkonie nad kanałem Landwehr – para jamników i przedwcześnie posiwiwały admirał, który mówi: „Rommel chce, żebym umieścił w Kairze agenta”.

W walizeczce była też książka, angielska powieść. Wzrok Achmeda padł na pierwszą linijkę: „Śniło mi się tej nocy, że znowu byłam w Manderley*”. Spomiędzy stroniec wypadła złożona kartka. Podniósł ją ostrożnie i schował z powrotem. Zamknął książkę, włożył do walizki i zatrzasnął pokrywę.

Zjawił się Izmail.

– Daleka to była podróż? – zapytał.

* Początek powieści Daphne du Maurier pt. *Rebeka*, w przekładzie Elenory Romanowicz-Podoskiej (cyt. wg wyd. IV, Albatros, Warszawa 2021).

– Przybyłem z Al-Agajli w Libii – odparł Achmed. Ale ta nazwa nic nie mówiła jego bratu. – Przybywam od morza – wyjaśnił.

– Od morza?

– Tak.

– Sam, pieszo?

– Na początku miałem wielbłądy.

Izmail był pełen podziwu: koczownicy nie podejmują tak długich podróży, on sam nigdy nie widział morza.

– Ale po co?

– Z powodu tej wojny.

– Jedna banda Europejczyków bije się z drugą o to, kto będzie miał Kair... Jakie to ma znaczenie dla synów pustyni?

– W tej wojnie walczą rodacy mojej matki – wyjaśnił Achmed.

– Mężczyzna ma podążać śladami ojca.

– A jeśli ma dwóch ojców?

Izmail rozłożył ręce. Rozumiał ten dylemat.

Achmed podniósł większą ze swoich dwóch walizek.

– Przechowasz to dla mnie?

– Tak. – Izmail wziął ją i zapytał: – Kto zwycięży w tej wojnie?

– Ród mojej matki. Są tacy jak Beduini: dumni, okrutni i silni. Potrafią zapanować nad światem.

Izmail uśmiechnął się.

– Achmedzie, ty zawsze wierzyłeś w pustynne lwy.

Achmed pamiętał to: w szkole dowiedział się, że kiedyś na pustyni żyły lwy i niewykłuczone, że nieliczne z nich przetrwały w niedostępnych zakątkach gór, polując na jelenie, fenki i muflony. Izmail nigdy w to nie wierzył. Kiedyś obaj bardzo przejmowali się tą sprawą, a ich spór niemal przerodził się w kłótnię.

– Nadal wierzę w pustynnego lwa. – Achmed się uśmiechnął.

Bracia popatrzyli na siebie. Ostatni raz widzieli się pięć

lat temu. Przez ten czas świat się zmienił. Achmed pomyślał o tych wszystkich ważnych rzeczach, o których mógłby opowiedzieć: o przełomowym spotkaniu w Bejrucie w 1938 roku, o swojej podróży do Berlina, o wielkiej akcji w Stambule... Ale te sprawy nie obchodziły Izmaila, tak jak jego nie bardzo obchodziło, co przez te ostatnie pięć lat przydarzyło się bratu. Odkąd jako chłopcy odbyli razem pielgrzymkę do Mekki, poprzysięgli sobie miłość jako *hadżi*, ale nigdy nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Izmail odwrócił się i zabrał walizkę do swojego namiotu. Achmed nalał trochę wody do miseczki, otworzył torbę, wyjął z niej kawałek mydła, pędzel, lusterko i brzytwę. Ustawił lusterko w piasku i zaczął rozwijać głowę z zawoju.

Odbicie własnej twarzy w lusterku wstrząsnęło nim.

Jego zazwyczaj gładkie czoło było całe w liszajach, oczy zapadnięte z wycieńczenia, otoczone siecią zmarszczek. Wy-chudzone policzki pokrywał ciemny, skołtuniony zarost, a skóra na dużym, orlim nosie była czerwona i popękana. Wyszczrzył zęby: wprawdzie pozostały równe i zdrowe, ale pokrywał je osad i plamy.

Namydlił twarz i zaczął się golić.

Spod piany stopniowo wyłaniała się jego dawna twarz. Była raczej kanciasta niż urodziwa i zazwyczaj gościł na niej – jak sam to określał w przyływach obiektywizmu – lekki wyraz zepsucia, teraz jednak wyglądała katastrofalnie. Wiózł ze sobą przez setki kilometrów pustyni fiolkę z wodą kolońską, żeby z niej właśnie tu skorzystać, ale pomyślał, że skóra będzie piekła nie do wytrzymania, więc zrezygnował. Dał flaszeczkę młodej dziewczynce, która mu się przyglądała, a ona odbiegła w podskokach, rozradowana niespodziewaną zdobyczą.

Kiedy skończył, zaniósł torbę do namiotu Izmaila i wyprosił z niego kobiety. Zrzucił z siebie ciężki burnus i włożył białą angielską koszulę, krawat w prążki, szare skarpetki i brązowy garnitur w kratkę. Próbując założyć półbuty, zauważył, że ma spuchnięte stopy: nie dawały się wbić w twardą skórę nowych

butów. Nie można jednak do europejskiego ubrania nosić pustynnych sandałów skleconych z kawałków opony. W końcu ponacinał skórę nożem i wtedy stopy weszły.

Przydałoby mu się jeszcze wiele rzeczy: gorąca kąpiel, fryzjer, krem na odparzenia, jedwabna koszula, złota bransoletka, butelka schłodzonego szampana i ciepła, miękka kobieta. Ale na to musi jeszcze poczekać.

Kiedy wyszedł z namiotu, Beduini popatrzyli na niego jak na obcego. Zabrał kapelusz i wziął dwie pozostałe walizki, ciężką i lekką. Izmail podszedł do niego z bukłakiem na wodę z kozłej skóry. Bracia objęli się ramionami.

Achmed wyjął portfel z kieszeni marynarki, żeby sprawdzić, czy ma wszystkie dokumenty. Patrząc na swój dowód osobisty, uprzytomnił sobie, że znów jest Aleksandrem Wolfem: wiek 34 lata, zamieszkały w Villa les Oliviers, Garden City, Kair, przedsiębiorca, Europejczyk.

Nałożył kapelusz, podniósł walizki i ruszył w chłodzie pustynnego poranka do miasta.

*

Starożytny szlak karawan, którym Wolff przemierzył od oazy do oazy ogromną pustą Sahary, prowadził teraz przez przełęcz w łańcuchu wzgórz i przechodził w zwyczajną szosę. Wyglądała jak linia narysowana na mapie ręką Boga, bo po jednej jej stronie leżały żółte, pyliste, nagie pagórki, a po drugiej – zielone pola bawełny, pocięte w kwadraty kanałami nawadniającymi. Pracowali na nich zgięci w pół wieśniacy – fellachowie w galabijach, prostych okryciach z pasiastej bawełny, tak różnych od ciężkich szat pustynnych nomadów. Idąc szosą na północ, mając w nozdrzach chłodne, wilgotne powiewy znad nieodległego Nilu i dostrzegając coraz więcej oznak cywilizacji, Wolff znów zaczął się czuć jak człowiek. Wieśniaków było teraz mniej. Kiedy usłyszał silnik samochodu, wiedział już, że dotarł do celu.

Pojazd zbliżał się od strony Asjutu, od miasta. Gdy wyje-

chał z za zakrętu, okazało się, że to wojskowy łązik. Kiedy podjechał bliżej, Wolff zobaczył, że jadący nim ludzie są ubrani w mundury angielskie, i pojął, że wpadł z deszczu pod rynnę.

Wysiłkiem woli uspokoił się. Mam prawo tu przebywać, pomyślał. Urodziłem się w Aleksandrii. Jestem narodowości egipskiej i posiadam dom w Kairze. Moje dokumenty są autentyczne. Jestem zamożnym człowiekiem, Europejczykiem, niemieckim szpiegiem na tyłach wroga...

Jeep zahamował ze zgrzytem, wzbijając tumany kurzu. Wskoczył z niego mężczyzna. Trzy paski na naramiennikach – kapitan. Wyglądał bardzo młodo i chodząc, utykał.

– Skąd się pan tu wziął, do diabła? – zapytał.

Wolff postawił walizki na ziemi i pokazał kciukiem za siebie.

– Samochód mi się zepsuł na pustyni.

Kapitan przyjął to wyjaśnienie bez komentarza – nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że jakiś Europejczyk może tu dotrzeć z Libii.

– W takim razie poproszę o dokumenty.

Wolff wręczył swoje papiery. Kapitan spojrział na nie i podniósł wzrok. „Był przeciek w Berlinie i jestem poszukiwany – pomyślał Wolff – albo była zmiana dokumentów od czasu mojego ostatniego pobytu i moje są nieaktualne, albo...”.

– Kiepsko pan wygląda, panie Wolff. Jak długo pan tak idzie?

Wolff pomyślał, że jego wynędzniały wygląd może mu zjednać trochę sympatii drugiego Europejczyka.

– Od wczoraj po południu – powiedział. – Trochę się zgubiłem.

– Spędził pan na pustyni całą noc? – Kapitan przyjrzał się mu bliżej. – Mój Boże, rzeczywiście, widać to po panu. Podwieziemy pana. – Odwrócił się do wozu. – Kapralu, weźcie walizki.

Wolff już chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język. Człowiek, który szedł pieszo całą noc, nie powinien sprzeciwiać

się, kiedy ktoś chce mu pomóc. To nie tylko podważyłoby wiarygodność jego opowieści, ale zwróciłoby też uwagę na walizki. Kiedy kapral wnosił je do jeepa, Wolff przypomniał sobie, że nie zadał sobie trudu, by zamknąć je na kluczyk. Jak mogłem być tak głupi? – pomyślał. Ale był wciąż nastawiony na pustynię, gdzie widziało się człowieka najwyżej raz w tygodniu, i gdzie ostatnią rzeczą, jaka mogła kogokolwiek interesować, był nadajnik radiowy, który należało podłączyć do prądu. Miał zmysły wyostrzone nie na to, co trzeba: obserwował ruch słońca, węszył w powietrzu za wodą, odmierzał pokonane dystanse i przeglądał horyzont w poszukiwaniu samotnego drzewa, w którego cieniu można przeczekać upał dnia. Teraz musi o tym zapomnieć, a pomyśleć o policjantach, papierach, zamkach i kłamstwach. Postanowił zdwoić czujność.

Wskoczył do jeepa.

Kapitan zajął miejsce obok.

– Z powrotem do miasta – rzucił kierowcy.

Wolff uznał, że musi jakoś uwiarygodnić swoją opowieść, więc kiedy wóz zawracał na piaszczystej drodze, zapytał:

– Ma pan trochę wody?

– Jasne. – Kapitan sięgnął pod siedzenie i wyciągnął blaszaną manierkę w filcowym pokrowcu, odkręcił ją i wręczył Wolffowi.

Wolff pił łąpczywie. Wypił przynajmniej pół litra.

– Dziękuję – powiedział i oddał manierkę.

– Nieźle był pan spragniony. Nie dziwota. Aha, przy okazji, nazywam się Newman – przedstawił się kapitan i wyciągnął rękę.

Wolff uścisnął ją i przyjrzał się bliżej oficerowi. Rzeczywiście był młody, na oko dwadzieścia parę lat, o świeżej twarzy, z chłopięcą grzywką i szczerym uśmiechem – ale w jego ruchach dało się zauważyć to dojrzałe znużenie, po którym poznaje się frontowych weteranów.

– Był pan na froncie?

– Trochę. – Newman pomacał się po kolanie. – Dosta-

łem w nogę na Cyrenajce, więc przysłali mnie do tej dziury. – Uśmiechnął się. – Szczerze mówiąc, nie marzę o powrocie na pustynię, ale wolałbym robić coś pożyteczniejszego niż tu tkwić. Jedyne walki, jakie się tu odbywają, to bijatki chrześcijan z muzułmanami. Skąd pan jest? Ma pan dziwny akcent.

To niespodziewane pytanie zaskoczyło Wolffa. Na pewno Newman zadał je celowo, pomyślał. Na szczęście miał gotową odpowiedź:

– Moi rodzice byli Burami, przybyli do Egiptu z Afryki Południowej. W dzieciństwie mówiłem po afrykanersku i arabsku. – Zawahał się, bojąc się popaść w nadgorliwość w wyjaśnieniach. – Wolff to holenderskie nazwisko, a Aleksandrem ochrzczono mnie od miasta, w którym przyszedłem na świat.

– Co pana tu sprowadza? – zapytał Newman jakby od niechcienia.

Wolff i na to był przygotowany.

– Mam firmy w kilku miastach Górnego Egiptu. – Uśmiechnął się. – Lubię wpadać z niespodziewanymi wizytami.

Wjeżdżali do Asjutu. Jak na warunki egipskie było to spore miasto – z przemysłem, szpitalami, uniwersytetem muzułmańskim, dużym klasztorem; liczyło jakieś sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Wolff już miał poprosić o wysadzenie przy stacji kolejowej, kiedy Newman uchronił go od popełnienia tego błędu:

– Potrzebny panu warsztat samochodowy – stwierdził. – Zawieziemy pana do Nasifa, on przyholuje pańskie auto.

Wolff zmusił się do podziękowania. Przełknął z trudem ślinę. Muszę się wziąć w garść, pomyślał, to ta cholerna pustynia tak mnie rozłożyła. Popatrzył na zegarek. Ma dość czasu, zdąży odegrać przedstawienie w warsztacie, a potem złapać codzienny pociąg do Kairu. Rozwazał, jak to rozegrać. Będzie musiał wejść do środka, bo Newman na pewno za nim spojrzy; trzeba będzie popytać o jakieś części zamienne czy coś w

tym rodzaju, potem wyjdzie i uda się na stację.

Jeśli dopisze mu szczęście, Nasif i Newman nie zgadają się więcej na temat niejakiego Alexa Wolffa.

Auto przeciskało się wąskimi, zatłoczonymi uliczkami. Znajome widoki egipskiego miasta sprawiały Wolffowi przyjemność: jasne bawełniane stroje, kobiety z tobołkami na głowach, policjanci o urzędowych minach, cwaniaczki w ciemnych okularach, sklepiki wysypujące swoje towary na wyboistą ulicę, stragany, poobtłukiwane samochody i objuczone do granic wytrzymałości osły. Zatrzymali się przed rzędem niskich budynków z suszonej na słońcu cegły. Droga była do połowy zatarasowana przez jakąś starą ciężarówkę i resztki rozebranego fiata. Na chodniku siedział chłopiec i majstrował przy bloku silnika.

– Tutaj muszę pana niestety opuścić – powiedział Newman. – Służba nie družba.

– Bardzo panu dziękuję. – Wolff uściśnął mu rękę.

– Ale nie chcę tak pana zostawiać na pastwę losu – dodał Newman. – Jest pan wykończony. – Zmarszczył czoło, lecz po chwili się rozpogodził. – Wiem, zostawię panu do pomocy kaprała Coxa.

– To bardzo miło, ale...

Newman nie chciał słyszeć o odmowie.

– Cox, weźcie bagaże i miejcie oczy otwarte. Macie się panem Wolffem opiekować. I żeby mu nic nie ukradli, rozumiano?

– Tak jest! – odparł Cox.

Wolff aż jęknął w duchu. Teraz straci jeszcze trochę czasu, żeby pozbyć się kaprała. Uprzejmość kapitana Newmana stała się uciążliwa; czyżby to było zamierzone?

Wolff i Cox wysiedli, a jeep pojechał dalej. Wolff wszedł do warsztatu Nasifa, Cox z walizkami za nim.

Nasif był pogodnym młodym człowiekiem w wysmarowanej galabii. Naprawiał akumulator przy świetle lampki oliwnej. Kiedy ich zobaczył, odezwał się po angielsku:

– Chcą panowie wynająć piękne auto? Mój brat, on ma piękny Bentley...

Wolff przerwał mu w egipskiej arabszczyźnie:

– Zepsuł mi się samochód. Podobno może go pan przyholować.

– Tak. Zaraz się tym zajmiemy. Gdzie ten samochód?

– Na szlaku pustynnym, jakieś siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów stąd. To Ford. Ale ja zostaję w mieście.

– Wyciągnął portfel i wręczył Nasifowi angielski banknot jednofuntowy. – Jak pan wróci, proszę zgłosić się do mnie do Grand Hotelu przy dworcu.

Nasif skwapliwie wziął pieniądze.

– Doskonale. Już jadę!

Wolff skinął głową i odwrócił się. Wyszedł z warsztatu z Coxem idącym za nim krok w krok i zaczął zastanawiać się nad konsekwencjami rozmowy z Nasifem. Mechanik wyjedzie w pustynię swoją ciężarówką i zacznie szukać samochodu. Wreszcie wróci do Grand Hotelu, by przyznać się do porażki. Dowie się, że Wolff wyjechał. Na pewno uzna, że dostał dość pieniędzy za stracony dzień, ale to go nie powstrzyma przed opowiadaniem na prawo i lewo o Fordzie, który znikł, i jego równie tajemniczym kierowcy. Bez wątpienia ta historia prędzej czy później dotrze do uszu Newmana. Kapitan może i nie domyśli się, co się za tym kryje, ale z pewnością sprawa wyda mu się wystarczająco tajemnicza, żeby się nią bliżej zainteresować.

Wolff spochmurniał, bo zrozumiał, że jego plan wślizgnięcia się do Egiptu po cichu wziął w łeb.

Trzeba z tego jakoś wybrnąć. Popatrzył na zegarek. Wciąż jeszcze ma szansę złapać pociąg. Coxa pozbędzie się w hotelowym holu, a potem może jeszcze zdąży coś przegryźć i wypić, jeśli się pospieszy.

Cox był niskim brunetem i mówił z taką odmianą brytyjskiego akcentu, której Wolff nie umiał rozpoznać. Na oko był mniej więcej rówieśnikiem Wolffa, więc prawdopodobnie

– skoro nie zaszedł wyżej niż do stopnia kaprała – nie był zbyt błyskotliwy. Idąc za Wolffem przez Midan el-Mahatta, zapytał:

– Zna pan to miasto?

– Byłem tu kiedyś – odparł Wolff.

Weszli do Grandu. Dysponował dwudziestoma sześcioma pokojami i był tym większym z dwóch hoteli w mieście.

– Dziękuję, kapralu, możecie wracać do służby.

– Nie ma pośpiechu – odparł wesoło Cox. – Zaniosę pana walizki na górę.

– Na pewno mają tu tragarzy...

– Nie dowierzałbym im na pańskim miejscu.

Sytuacja Wolffa przypominała koszmarny sen albo farsę – dobre chęci innych wpędzały go w coraz bardziej bezsensowne działania i kolejne kłamstwa. Czy to aby na pewno przypadek? Przeszło mu przez głowę, że być może wiedzą o nim wszystko, a teraz robią sobie z niego kpiny.

Odepchnął tę myśl i odezwał się do Coxa z całą uprzejmością, na jaką go było stać:

– Cóż, w takim razie dziękuję.

Odwrócił się do kontuaru i poprosił o pokój. Rzucił okiem na zegarek: ma piętnaście minut. Wypełnił szybko formularz, podając zmyślony adres w Kairze – może kapitanowi Newmannowi wyleci z głowy prawdziwy adres z dowodu osobistego. Nie chciał zostawiać zbyt wyraźnych śladów.

Nubijski boy zaprowadził ich na górę do pokoju. Wolff dał mu w drzwiach napiwek. Cox położył walizki na łóżku.

Wolff wyciągnął portfel: pewnie Cox też miałby ochotę na parę groszy.

– No, kapralu – zaczął – bardzo mi pomogliście...

– Rozpakuję pana – przerwał mu Cox. – Kapitan prosił, żeby się panem zaopiekować.

– Nie, dziękuję – odparł stanowczo Wolff. – Teraz chciałbym się na chwilę położyć.

– Niech się pan kładzie – zgodził się wspaniałomyślnie

kapral. – Ja się uwinę raz-dwa...

– Nie otwieraj tego!

Ale Cox już podnosił wieko walizki. Wolff sięgnął za pazuchę, myśląc: niech go szlag trafi! Czy uda się nie narobić hałasu? Kapral wlepił wzrok w starannie ułożone pliki nowych angielskich banknotów funtowych, które wypełniały mniejszą walizkę.

– Jezu Chryste, ale pan nadziany! – wyjąkał.

Pewnie nigdy w życiu nie widział takiej forsy, pomyślał Wolff. Cox zaczął się odwracać, mówiąc jednocześnie:

– Co pan chce zrobić z tą całą...

Wolff wyciągnął krzywy beduiński kindżał, napotkał wzrok kaprała; ten zamrugał i otworzył usta do krzyku, ale ostre jak brzytwa ostrze wślizgnęło się już głęboko w miękką skórę szyi i krzyk strachu wydobył się jako krwawy bulgot. Po chwili kapral był martwy. Wolff nie czuł nic poza rozczarowaniem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).